

jącej się chorobie. To także intensywnie badany, intrygujący aspekt komunikacji chemicznej. Swoją drogą warto zwracać uwagę na naszą szczególną wrażliwość na pewne bodźce chemiczne. Często w ten sposób organizm komunikuje nam potrzebę uzupełnienia puli związków chemicznych występujących w określonym rodzaju pożywienia. Równie często przestrzega przed tym, co w danym momencie niekoniecznie nam służy. Zdarza się jednak, że ignorujemy te sygnały.

Jakiś czas temu popularne były feromony. Czy ich stosowanie może być przykładem próby wpływu, zakłamywania naturalnej komunikacji chemicznej?

Tak, stosowanie feromonów byłoby taką próbą zafalszowania przekazywanej informacji chemicznej,

ale byłaby to próba mało skuteczna. Tak złożone organizmy jak nasze rejestrują oczywiście obecność poszczególnych substancji, ale nasz system percepcji i integrowania bodźców jest ewolucyjnie przygotowany do tworzenia swobodnego obrazu i reagowania w oparciu o profil chemiczny – pewien zestaw substancji występujących w określonych proporcjach ilościowych. Warto podkreślić, że nawet organizmy tego samego gatunku i tej samej płci różnią się między sobą zarówno poziomem percepcji, jak i preferowanym profilem chemicznym feromonów. Dlatego nie sądzę byśmy w tej chwili mieli powody, aby obawiać się poważnych zaburzeń komunikacji z udziałem feromonów.

Panie rektorze, dziękuję za rozmowę i gratuluję nagrody.

Mam potrzebę obserwowania świata i natury człowieka

Olgierd Ślizień

Wywiad z Leszkiem Długoszem

Został pan laureatem nagrody Artystyczna Gwiazda Hoborskiego, co jest przyczynkiem do tego, byśmy mogli porozmawiać. Pierwszą sprawą, o którą chciałbym zapytać, to inspiracja. Co pana inspiruje, co pana inspirowało kiedyś? Co sprawiło i sprawia, że pan tworzy?

Potrzeba zasygnalizowania swojej obecności i swojej jakości, że oto jestem, tak odbieram świat. Takie są dla mnie wartości, które wybieram, wspieram. Które są dla mnie ważne. Taka jest moja postawa do życia, poważna, najpoważniejsza, bo przecież fakt istnienia, czyli życie jest niezwykłym, jednorazowym prezentem, jaki otrzymujemy, żadnych gwarancji, żeby zrobić coś, aby później jak najmniej żałować złych decyzji, złych kroków, żeby zostawić jakieś wpisy po sobie, które inni ludzie akceptowaliby, polubiliby, które byłyby im przydatne, pomocne. To chyba wystarczający powód, by coś robić. A mogłem się wyrazić tylko w dwóch dyscyplinach, które są mi najbliższe, czyli w jakimś rodzaju pisania i muzykowania. Uważam, że jestem szczęściarzem, ponieważ spełniały się moje autentyczne potrzeby – pasja i – żeby nie użyć słowa „miłość” – muzyka. Tak, byłbym nieszczęśliwy, nie mogąc słuchać, kreować. Jako człowiek obdarzony wotywnością wewnętrzną, nie poprzestałem tylko

na tym, aby poznawać twórczość innych, ale kusito mnie, żeby dołożyć swoje trzy grosze. Co ja mogę od siebie dołożyć, dopisać, dopowiedzieć? W ten sposób od najwcześniejszego czasu zbierała się ta moja postawa twórcza, w sposób bardzo krytyczny, ponieważ dość dużo czytałem, słuchałem od dziecka i miałem rozbudzone bardzo wysokie mniemanie o sztuce i jej funkcji. W związku z tym wiedziałem, że muszę się zdobyć na jakiś swój kolor, odrębność, coś, co nie jest paplaniną, powielaniem kogoś, tylko jest moim znakiem indywidualnym, innym, odrębnym, który mnie pośród tej nicości może gdzieś oznaczyć. To tak patetycznie wyszło, ale w tle to tak jest, ta potrzeba. Jakoś oznaczyć swoje istnienie i przydać się innym, których może się zabawi, pocieszy, wywoła się uśmiech. Którzy nie mają odwagi, zdolności – użyjmy też tego słowa – by to wyrazić, a ja często słyszę takie wyrazy wdzięczności: „Panie Leszku, dziękuję, że pan wyraził to, co ja też czuję, chcę, tylko pan znalazł na to jakąś formę, słowa”.

To piękne słowa. Mało kto ma odwagę wypowiedzieć pewne słowa.

Ja już nie mam czasu. Ja mam odwagę. Wbrew pozorom. Powiedziałbym, że wręcz wbrew obiegowej

o mnie opinii, że jestem taki „leciutki”, delikatny, wycofany. Ja w gruncie rzeczy w środku jestem twardym facetem. Jeśli wedle mnie coś jest tak, to tak jest i mam odwagę pośród tłumu, który jest wokół mnie, o tym powiedzieć. Różnie się na tym wychodzi, ale inaczej nie umiem.

W moim rodzinnym domu zawsze była obecna muzyka. Wszelaka. Pośród kaset była jedna z pańską muzyką. Nie wsłuchiwałem się, jako dziecko, w słowa, ale melodie do mnie przemawiały.

Melodie są inną mową. Różne względności w tekście, zapytania, wymagają pewnej dojrzałości i ochoty, by to odczytać. Piosenka jest formą, której tekst powinien być tak zorganizowany, aby trafił od pierwszego przekazu, aby był czytelny. Wtedy inaczej się to sumuje i skupia się uwagę odbiorcy. Jak się czasem popatrzy na twórców, którzy biorą się za teksty na przykład Norwida, bardzo „gęste”, bardzo trudne do odczytania, zrozumienia, to można zobaczyć, że wychodzi kompletna, pretensjonalna kreacja, która ma na celu podciągnięcie się przy pomocy autora tekstów. Tekst powinien być w miarę możliwości dostępny do odczytania od razu. Dlatego jest inną formą.

Jest pan poetą.

Tak, w końcu się na to zgodziłem, że tak mnie nazywają i na to przystaję. Ostatecznie mogę się na to zgodzić, ponieważ mam taką potrzebę obserwowania świata, przyrody, natury człowieka i samego siebie, i pewnego rodzaju przetworzenia tych wniosków. Puszczania w zabawę, w ruch, a to jest już pewnego rodzaju inwencja, może być twórczością poetycką. Nie ukrywam, że tak się mogę określać.

Ale ja chciałem zadawać inne pytanie, a to stwierdzenie było jedynie do niego wstępem. Śpiewa pan teksty autorskie i „cudze”.

Śpiewam różnych, między innymi Głanowskiego, Liberta, Balińskiego. Wielu przedstawicieli staropolszczyzny. Wielu jest naśladowców, którzy robią bełkoty, pretensjonalne bełkoty słowno-muzyczne, bo ich nobilituje słynny autor tekstu. Nie rozumieją, że to ma być jasne, przejrzyste. I kropka. Trzeba pisać jak Młynarski, jak Osiecka. Rzeczy do piosenki, które mają swoje inteligentne walory. Młynarski to szczególnie, wyjątkowa, spostrzegawcza bestia. Osiecka miała ciekawe spojrzenia i syntezy, dowcip. Tekst do piosenki jest inną formą.

Co się śpiewa łatwiej, co trudniej? Jakie to uczucie śpiewać nie swoje teksty, szczególnie w kontekście wyrażania siebie, o którym pan wspominał. Inaczej przecież wyraża się siebie swoimi słowami, a inaczej cudzymi.

Tak, ale jeśli już biorę cudzy tekst, to oznacza, że się z nim identyfikuję lub on mnie w tej sprawie wyraża tak, jak ja bym tego nie zrobił. Więc jest to gotowe. Wtedy ten tekst jest prawie jakby mój. Zawartość, atmosfera i tym podobne to jestem ja, tylko już „odrobiony” przez kogoś. Śpiewa się, wykonuje się tak samo, najbardziej starannie, pomysłowo, twórczo, jak tylko można. Mogą być zawsze usprawiedliwienia – a to czyjś tekst, to można inaczej. Jak proponuję swój tekst, to jestem bardziej odstępniety. Można powiedzieć: on tak myśli, takie czyni wybory. Wtedy sprzedają się kompletnie, jak pewnie nikt. Właściwie uzewnętrzniam się z własnymi przemyśleniami, myślami, tekstem, emocjami, muzyką z własnym wykonaniem, własnym granicem. Może to nie jest pornografia, ale jest to wyłożenie siebie na zewnątrz, artystyczny ekshibicjonizm. Szanujący się twórca musi zadbać o pewien rygor, formę, by nie – jak to się kolokwialnie mówi – wywalać bebechów.

Jeśli twórca tak się uzewnętrznia, pokazuje i oddaje publiczności część siebie, to czy może dojść do chwili, kiedy będzie to już zbyt wiele. Czegoś zabraknie, by znowu dawać siebie i od siebie? Trudno o coś nowego, nie lęka się pan tego?

Jakaś obawa istnieje, ale wydaje mi się, że wmontowałem w siebie strażnika, żebym nie robił autoplagiatów. Mam przekonanie, że dorzucam coś, co było przeoczone, pominięte i że mam prawo o tym pisać. Nie piszę drugi raz o tym samym, chyba że byłby inny koncept, to byłoby inne doznanie.

Jest pan na artystycznej mapie Krakowa od kilkunastu lat. Czy utożsamienie ciąży panu czy postrzega pan to jako zaletę?

Z pewnym środowiskiem, atmosferą jestem kojarzony jak ktoś z Krakowa. Atmosferę *ambiance*. Ale wracając do pytania. Tak, w swoim czasie to mi ciążyło. Uważałem, że mnie to ogranicza, że jestem „szerszy”, swobodniejszy niż tylko tak zwany krakowski, ale obecnie myślę, że mi to pomaga, ponieważ jest to wartość, która jest w moich oczach szczególnie, ona raczej dodaje, wpisuje mnie we wspólną tradycję tutejszych dokonań, twórczości, nie jest dla mnie niczym degradującym, pomniejszającym mnie poprzez umieszczenie w krakowskiej drużynie. Gra jest o co innego. Gra idzie o to, żeby się wpisać w twórców, dokonania, dzisiejszych, ale



fot. A. Szełęga

Leszek Długosz – laureat Artystycznej Gwiazdy Hoborskiego

i wcześniejszych, tych, którzy pozostawili tu coś trwałego. Ściganie się tylko, konkurowanie z obecną, dzisiejszą drużyną, jaka tutaj na tym krakowskim boisku gra, byłoby to za mało. To jest ograniczeniem dla mnie. Byłoby to ograniczeniem, ale pokusa wpisania się do tej drużyny jest zuchwała, fantastyczna i dlaczego nie. Mogę opowiedzieć anegdotę. Na pierwszym roku studiów, jako przybysz z małego miasteczka z dalekiej prowincji, choć nie miałem z tego powodu żadnych kompleksów, bo wiedziałem, że jestem bardzo dobrze przygotowany, świetnie czytany, wykształcony być może nawet lepiej niż inni, taką miałem bazę, ale w mieście się nie orientowałem. Kiedyś poszliśmy z koleżankami i kolegami do Noworola i oni wszyscy co chwilę odwracali głowę i zachwycali się; „ach, wszedł ktoś tam”, marząc, żeby się zobaczyć w roli tego kogoś wchodzącego, a takie łebki jak my będą siedziały i się zachwycaty. Ja wtedy od razu pomyślałem sobie, mój Boże, cóż to za powód. Dzisiaj jestem zdania, że ścigać się na dobrym boisku, to oznacza mieć coś do powiedzenia. Wtedy już się na tym przytłapałem, że mi już wówczas chodziło o inną grę, nie o „bieżączkę”, nie dzisiaj, tylko poważną, czy mogę swoim życiem dorzucić coś od siebie. Wypowiedziane, dołączone, zagrane.

Jest pan związany z Krakowem, „wpisał się” pan w niego, w jego historię artystyczną. Jak pan porównałby miasto, do którego przyjechał jako młody człowiek, i to dzisiejsze?

Jest ogromna różnica. Miasto się oporządziło, urządziło. To są oczywiste prace i efekty, lepsze czy gorsze. Nie chcę oceniać poszczególnych dziedzin, jak choćby komunikacji, bo nie jestem specjalistą. Jestem za to członkiem Społecznego Komitetu Odnowy Krakowa i z tej perspektywy obserwuję, wiem, że trafiają tu ogromne pieniądze i chyba nie ma żadnych skandalicznych rzeczy. Natomiast zmieniało się to, co jest związane z tkanką ludzką. W tej materii jest smutno. Biorę poprawkę, że starsi ludzie, starsze pokolenie zawsze gloryfikuje swoje młode lata, ale rzeczywiście jak porównam jakość życia kulturalnego w Krakowie, jakoś instytucji, dzieła, które zostały z tamtych czasów, mam świadomość, że trafiłem na niezwykle szczęśliwy, fortunny okres w rozwoju miasta i w kulturze. W czasie komuny, przy tych limitach i ograniczeniach, ludzie, na których trafiłem, którzy mieli potrzebę i ambicję, by swojego życia nie przegrać, tylko wręcz przeciwnie, wypełnić je dobrą pracą, dobrą rozrywką, osiągnięciami. Dzisiaj z perspektywy kilkudziesięciu lat widzę, że to było wspaniałe, cudowny czas, być może drugi najlepszy okres pod tym względem w historii, nawet nie tylko Krakowa, ale i może w ogóle Polski, jaki się zdarzył w dwudziestym wieku. Jednym była Młoda Polska, symboliczna Jama Michalika, kiedy przypadł niebywały rozkwit wspaniałej kultury, od

malarstwa, które bodaj jedyny raz w historii wzbilo się na europejski, światowy poziom, dalej wspa- niata literatura, teatr się rozwinął, kabaret, zabawa w tym małym grajdole, bo tak to trzeba postrzegać z perspektywy Austriaków, którzy stolicą Galicji ogłosili Lwów. Podobnie oceniam Kraków z lat, kiedy jako młody tu przyszedłem. Lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, które opisałem w mojej książce *POD BARANAMI ten szczęśny czas*. Przecież na niewielkiej przestrzeni, dookoła Rynku, który jest wszak placem niewielkim, były tak silne kulturotwórcze miejsca, jak będąca kuźnią fantastycznej twórczości i artystów Piwnica Pod Baranami, jak po drugiej stronie Krzysztofora i Teatr Kantora, który trafił swoją odrębnością w świat. Kawałek dalej jest ówczesny najlepszy powojenny polski, jaki wówczas się zdarzył, Teatr Stary z twórczością Swinarskiego, ówczesnego Jarockiego czy Wajdy. Na premiery, spektakle, przyjeżdżali ludzie z całej Polski. Dalej mieliśmy, niebywałe jak na standardy demoludów, pismo „Przekrój”, które było feerią, zabawą, łącznikiem pomiędzy wiadomościami z Zachodu a przeciekami tutaj. Był ówczesny „Tygodnik Powszechny”, powstały „Jaszczury”, czyli „Klub Pod Jaszczurami”. Bogactwo było fantastyczne. Cały jazz wziął się z Krakowa, plastyka, twórczość, która później przeszła do filmu. Indywidualności z Piwnicy, którzy uzyskali rangę ogólnopolską, albo nawet światową, bo przecież Polański się stamtąd wywodził, Ewa Demarczyk, Wiesiek Dymny. To taka eksplozja inwencji i bogatych indywidualności, do której mogłem dołączyć, nauczyć się, spostrzec, czy ja mogę się odważyć do tego koleżeństwa dostawić. Czy siedzieć w kącie i obserwować. I tylko cieszyć się, że jesteśmy w nie najgorszym lokalu. Mam świadomość, że moje życie przypadło na okres niezwykle uprzywilejowany. Z drugiej strony siedziato się z paszportem albo bez, z pięcioma dolarami w kieszeni, które można było dostać na wyjazd albo nie. Jak nas parę razy puścili z Piwnicą za granicę, pierwszy raz w roku 1967 na festiwal, to myśmy przywołali propozycje, które budziły zdumienie, pełne pomysłowości, inwencji, sensacyjnie muzyczne. Widzom opadały szczęki, że przyjechała grupka ludzi ze Wschodu, gdzie pewnie jest „Sybir i kufajka”, i pokazuje rzeczy, na które u nich artyści by się nie odważyli. To było naprawdę cudowne pomieszanie z poplątaniem, ale inspirujące, twórcze. Mam dzisiaj co wspominać, za czym tęsknić. Każdy czas mija, i ten dobry, i ten zły. Wdzięczność kieruję do tych wszystkich fantastycznych ludzi, z którymi wtedy się zadawałem, tworzyłem, bałowałem, uczyłem, ryzykowałem innym razem. Kawałek ciekawego, żywego życia. A przecież o to chodzi, by życia nie brakowało, jak napisałem w którejś swojej piosence.

Przerywając te słowa nostalgii, chciałbym zapytać o przyszłość, jaką widzi pan przed sobą,

jako mieszkanka Krakowa, krakowskiego twórcy? Słyszę bowiem w pana głosie, że nie powiedział pan jeszcze ostatniego słowa.

Tak, nie powiedziałem. Człowiek jednak z czasem zaczyna zdawać sobie sprawę z limitów. Że jestem w wieku, który warunkuje, determinuje pewne możliwości. Czas kurczy się coraz bardziej. Ten sam czas, ale w innych latach, ma zupełnie inny odbiór. Prawdę mówiąc, oprócz książki, poświęconej jednej wspaniałej, niebywalej, ważnej osobie, której zawdzięczam w życiu najwięcej poza rodzicami, którzy mnie urodzili, resztę czasu, jeśli taka by się znalazła, chciałbym poświęcić na uporządkowanie rozpoczętych rozmaitych spraw, i to w piosence, i to w muzyce, i to w pisaniu. Są tam elementy, fragmenty wartościowe, których, jak myślę, szkoda byłoby zatracić. Nikt tego poza mną nie zrobi, nawet nikogo nie upoważniłem do tego, żeby w tym grzebać. Chciałbym jeszcze zdążyć zrobić porządku po sobie.

Co to za książka, o której pan wspominał przed chwilą?

Napisałem wcześniej *POD BARANAMI ten szczęśny czas*, która jest opowieścią o Piwnicy, o mnie w Piwnicy, ale i całym środowisku kulturalnym Krakowa lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Który ten czas dowartościowuję. I słusznie, bo mam na to argumenty. Ale ta, którą mam na myśli, będzie o tym, skąd się tu wzięłem, kim byłem wcześniej. W jakimś sensie najbardziej autobiograficzna. Ale ona powinna być dialogiem pomiędzy małym chłopakiem, sześciolatkiem, którym byłem, kiedy ją spotkałem, i niebywałą starszą osobą, staruszką, wyglądającą jak kloszardka. Bosą, siwą, małutką, w jednej sukieneczynie, niezwykle religijną,

ale bez żadnych ostentacji. Najpiękniej religijną, jak można być. Była w młodości zamożną osobą, posiadaczką majątku w poznańskim, która jeździła przed wojną po Europie, studiowała na Sorbonie, jako jedna z pierwszych Polek, która miała niewiarygodną odwagę bycia osobą wolną, niezależną i właściwie wzięła mnie za rękę i w pewnym sensie zajęła się moją wszelaką edukacją. Od muzyki, nauki języków, po literaturę, pisanie, opowieści. Ja w ten sposób, w tym małym grajdołku, w tych lasach na skraju Lubelszczyzny, w latach czterdziestych-pięćdziesiątych miałem edukację w starym, dziewiętnastowiecznym stylu, na najwyższym poziomie. Dodatkowo podarowała mi fortepian, który jej ojciec kupił na pierwszej światowej wystawie w Paryżu, na którą zbudowano Wieżę Eiffla. Fortepian otrzymał złoty medal na tej wystawie. Kiedy ona mi go podarowała, ten medal wciąż na nim tkwił. Jestem owocem dziwnych sił, od normalnych, małomiasteczkowych, półwiejskich środowisk, po wykwinną, europejską, w najlepszym stylu dziewiętnastowieczną kulturę. I to dawało mi dużą rozpiętość. Jako dziecko byłem za mały, by to spostrzegać, ale później, jako dorosły, miałem świadomość, że jestem wyróżniony czymś, czym jako dorastający chłopak byłem trochę skrępowany przed swoimi rówieśnikami, że jestem pod wpływem jakiejś starej baby, która mnie instruowała, czegoś ode mnie oczekiwała.

Kim była ta kobieta?

Wolnym człowiekiem. Najbardziej wolnym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu. A na to trzeba się odważyć.

Nie będę ciągnął pana za język, tylko poczekam na tę książkę. Dziękuję za rozmowę.

30 lat Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej

prof. dr hab. inż. Bartłomiej Szafran
Dziekan Wydziału Fizyki
i Informatyki Stosowanej

Katedrę Fizyki w 1919 roku tworzył prof. Jan Stock, doktorant Mariana Smoluchowskiego. Po śmierci prof. J. Stocka w 1925 roku, kierowanie katedrą przejął prof. Mieczysław Jeżewski. W grupie prof. Jana Stocka, w 1931 roku jako asystent, podjął pracę Marian Mięśowicz, który opublikował w *Nature* dwa monoautorskie artykuły na temat ciekłych kryształów, jeden w 1935 roku, a drugi w 1946 roku. W uznaniu dokonań prof. Mięśowicza

Wydział Fizyki i Informatyki Stosowanej obchodzi 30-lecie, ale fizyka – dominująca dyscyplina naukowa na wydziale – jest uprawiana w akademii od początku.

stworzono dla niego drugą Katedrę Fizyki. Od 1957 roku Katedra Fizyki prof. Jeżewskiego na Wydziale Metalurgicznym uprawiała przede wszystkim fizykę ciała stałego, a Katedra Fizyki II prof.